DZIENNIK
Mód Paryskich.

LWÓW 1 LUTEGO 1841. Ner. 3. ROK DRUGI.

Wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca, do każdego numeru dołączone są dwie ryciny. Prenumerata wynosi we Lwowie półrocznie 5 złr. 15 kr., rocznie 10 złr.; bez rycin półrocznie 2 złr. 30 kr., rocznie 5 złr. Dla tych którzy pocztą ten dziennik odbierają dolicza się do powyższych cen za przesyłkę pocztową od jednego exemplarza półrocznie 48 kr., rocznie 1 złr 36 kr. śrebr. Prenumerować można w kantorze Tomasza Kulczyckiego pod liczbą 301 w mieście, tudzież w krajowych i zagranicznych urzędach pocztowych.

MODY.

Stroje damskie. Zwrócono dziś powszechną uwagę na to iż mocne wiązanie włosów jest szkodliwe i powoli powoli niszczy włos najpiękniejszy. Panie poczęły być troskliwsze o swoje piękne włosy i we wszelkich ubraniach głowy splatają je tylko, bynajmniej ich nie wiążąc. Loki trefione są dziś panujące, a pióra w ubraniu głowy powszechnie przyjęte tej zimy, szczególniej od osób poważniejszych. Oto są przepisy modnej gotowalni według jednego z najpierwszych francuskich dzienników.

Negliż. Szlafroczek z flaneli fioletowej, biało kropkowanej, haftowany połyskującym jedwabiem, albo z płócienka smyrneńskiego w paski białe i pomarańczowe. Czypek i kołnierzyk muślinowy dziergany. Pantofle axamitne czarne.

Strój od wyjścia Suknia z axamitu afrykańskiego, koloru kawy palonej. Szuba z kaszmiru białego albo błękitnego z kapiszonem okrągłym, wyłożona błękitnym axamitem strzyżonym. Kapotka axamitna biała albo czarna, podszyta atłasem błękitnym. Zarękawek z kun albo sobolów ze sznurkami jedwabnemi. Buciki z atłasu tureckiego kawowego. Chusta z godłem.

Negliż wieczorny. Suknia morowa szara, mantylka i rękawy albańskie korunkowe, albo z kaszmiru szarego z szerokim wolantem wyciętym w zęby i haftowanym; stanik w kształt serca, bardzo otwarty z przodu i udrapowany. Czypek z tiulu bardzo cienkiego z kutasami nisko spuszczonemi, ozdobiony rozmaitemi kwiatami; albo pewien rodzaj stroiku na głowę trzymający środek pomiędzy czypkiem a turbanem, zrobiony z blondyn i ozdobiony kwiatem pełnym brzoskwiniowym. Rękawiczki różowe. Trzewiki atłasowe. Chustka haftowana. Bukiet.

Strój wieczorny. Suknia z atłasu różowego w kolumny białe. Wolant korunkowy, albo suknia kaszmirowa ze złotem, lub z tarlatany haftowanej w kolumny. Rękawy krótkie. Wianuszek z róż bengalskich, nimfami zwanych i białych, bardzo nisko z tyłu głowy położony. Bukiet z podobnychże róż u boku. Pasek jedwabny ze złotem. Ozdoby z pereł i klejnotów. Wachlarz z czasów Ludwika XV. Chustka bardzo bogata. Rękawiczki białe ozdobione korunką i różyczkami miasto guziczków. Bukiet w ręku z kwiatów naturalnych takich samych jak na głowie.

Stroje męskie. Ubiorem dziś najmodniejszym jest frak z półszerokiemi połami bez patków, kamizelka szalowa i spodnie prawie obcisłe. Na negliż wdziewa się surdut na dwie strony zapinany, u którego stan jest zwyczajny tak co do szerokości jako i długości, równie też spodnie niemarszczone i ścinane krągło. Wreszcie zwracamy uwagę że rzadko tu dają się widzieć paletoty w jasnych kolorach; ciemnozielone, ciemnobronzowe, i ciemnoniebieskie są ulobione. Forma panująca jest: zapinane na dwie strony z kieszeniami u dołu. Co do płaszczów, zgrabne fałdowanie stanowi wielką ozdobność i podnosi ich cenę. Jeden z najpiękniejszych płaszczów jakiśmy wi-

dzieli był granatowy, podszyty flanelą białą z czarnemi płomykami.

Rycina damska, przedstawia suknię według wzoru panny *Moismont* ozdobioną marabutami, tudzież ubranie głowy według pana *Leminnier Pelvej;* kapelusz axamitny według pana *Lassalle* i strój dziecięcy według *Leclaire.* Męska przedstawia surdut zapinany na na dwie strony, i maskę wyjętą z dawnych bretońskich strojów Morbihana, dla porównania z temi jakie się nam na dzisiejszych zabawach barnawałowych widzieć zdarza.

Dziennik z dwoch dni
przedzielonych czterdziestą latami.

Żartem powiedzieć prawdę
Ktoż wzbroni?

I.

1 maja 1800.

Przed 6tą z rana. Zerwałem się żwawo z łóżka, i jednem trąceniem rozwarłem okno wraz z okienicą. Piękny, cudnie piękny był ranek: jasne słońce na jasnem niebie, spiew ptaków, woń i czarowna barwa kwiatow, śrebrzysty połysk pereł rosy, piękny zachwycający był ranek! Niemogłem usiedzić w pokoju. Na prędce włożyłem na się pierwsze lepsze suknie, chwyciłem wędkę, zarzuciłem na barki koszyk na ryby, pospieszyłem ogrodem i wnet ujrzałem się na brzegu bliskiego strumyka, obfitującego w pstrągi. Przypomniałem sobie tam że właśnie dziś 20ta rocznica urodzin moich. Westchnąłem rozmyślając że mi już tyle lat upłynęło. Postanowiłem ustatkować się, spoważnieć, ze wszystkich poprzednich poprawić się błędów i nowy rospocząć tryb życia. Dla dobrego początku powrzucałem nazad do wody wszystkie, jakie złowiłem był ryby, i szedłem do domu z nadzieją i przekonaniem: że kiedyś będę co do poczciwości i rozsądku przynajmniej drugim Franklinem.

Koło 9tej. Przy śniadaniu tęgo się zwijałem: zajadałem nie półgębkiem. Kawę, herbatę, bułki z masłem, jaja na miękko, szynkę, galaretę i marmeladę przetrącałem jedno po drugiem przez gardło jak w przepaść. Tatko się cieszył moim apetytem, a babunia coś tam szeptała o moich białych zębach, niebieskiem oku, rumianem licu i nadobnej postaci, ale w końcu coś przebąknęła o Helusi: tatko się zachmurzył, mama się zasępiła, a babunia nazwała ją chytrą, przebiegłą cyganką, która nie warta złamanego grosza. Nieznośną też czasem bywa pleciugą ta babunia!

Po śniadaniu udałem się do Rafała, a z nim konno na przejazdkę. Niewidziałem go nigdy tak wesołego. Spotkaliśmy Helusię: ukłoniliśmy się grzecznie; jej oko spotkało moje; nigdy mi się piękniejszą niewydała! Zwierzyłem się Rafałowi, żem się z nią żenić postanowił bez względu na przyzwolenie lub nieprzyzwolenie ojca. Utwierdził mię w tem poczciwy Rafał i przyznawał słuszność mym zamiarom; bo też Rafał nie dla kształtu głowę nosi, ma serce i rozum. Oj Rafał to jedyny, najszczerszy, najserdeczniejszy mój przyjaciel! Mocno go też kocham.

Koło południa powróciłem do domu. Zastałem w pokoju bawialnym pannę starościankę Ludwikę, tudzież mamę i babunię w żywej, głośnej rozprawie. Żałowałem że tam wpadłem niepotrzebnie; chciałem się cofnąć i szpetnie się potknąłem na ulubionego pieska panny starościanki. Pies zaskowyczał, starościanka wrzasnęła, mama się ofuknęła i burczała, babka zrzędziła, a ja w duchu diabła, kobiety i siebie przekląłem; usiłowałem wreszcie obrócić w żart całą przygodę, lecz i to mi się niewiodło; nikt się nieroześmiał a ja spłonąłem wstydem i stałem głupiuteńki. W końcu panna starościanka wstała, a ja chcąc naprawić złe, zaniosłem usłużnie ulubionego pieska do karety, podałem rękę jej samej, i tak zbyłem się szczęśliwie tej szanownej pary. *Nota bene:* Daję sobie słowo że nigdy w życiu żadnego z psów moich nie nazwę Taksiem bo lizuś starościanki ma to złowrogie nazwisko.

Koło 2giej z południa. Wzięli się do mnie we troje nie pomału: tatko, mama i Basia. Łajali, zrzędzili, gdyrali za niesworność, i tyle mi nagadali o pannie starościance, która wedle ich postrzeżeń nie z ukosa na mnie pogląda, tyle o jej wdziękach osobistych, ruchomych, nieruchomych i dziedzicznych, że mi aż w uszach zaszumiało. Składałem się tem, że nic przyjemnego w pannie Ludwice upatrzyć nie-

mogę, lecz zakrzyczała mię chórem cała trójca, wołając jednogłośnie, że rocznego dochodu ma dziesięć tysięcy czątych! Zamilkłem; ależ mnie ni częte, ni diabli nie kuszą; byle tatko łaskaw to będę miał majątek; a jeżeli nie, to i tak jakośto będzie!

O 3ciej. Byłem na proszonym obiedzie u stryjaszka w mieście. Towarzystwo było liczne, po większej części sami wiekowi, a każdy przynajmniej wyżej czterdziestki; jeden w drugiego nudny senzat. Od jadła i gawędy gęba im nieustawała, ale żeby też zaczepili o jakikolwiek przedmiot któryby mnie choć troche mógł zająć! Siedziałem na szarym końcu obok stryja gospodarza, który mnie zaszczycił urzędem krajczego: każde danie musiałem rozbierać. Nigdy też niewidziałem takich żarłoków: niemiałem chwili czasu by połknąć kęs swobodnie. Jakiemuś poważnemu szpakowatemu jegomości siedzącemu wyżej mnie ukroiłem zbyt potężny kawał baraniny: nie przyjął, oddał talerz służącemu, a mnie prosił o cieńszy kawałek; upiekłem raka ze wstydu i gniewu, ale musiałem grzecznie zadość uczynić jego żądaniu i o tyle tylko mej zniewagi pomściłem się, że mu baraninę zatopiłem w powodzi sosu i przysypałem ziemniakami. Wezwał mię stryjaszek do wina: nalewając sobie lampeczkę trąciłem łokciem talerz tegożsamego jmćpana Poważnickiego, talerz padł na podłogę, ale po drodzę złożył wszystko co zawierał, baraninę, kartofelki i obfitę podlewę na szanownem łonie jego. Myślałem że zginę, lecz przybrałem twarz poważną i pięknie przeprosiłem jak należało. Po obiedzie wychyliłem kilkanaście kieliszków dobrego wina i zostawiłem stryja z jego starymi wyjadaczami. Niechby sobie już bezemnie według upodobania i do sytu resztę wieczora dobili.

Po 7mej wieczorem. Poszedłem do teatru, wiedząc że tam będzie Helusia z ciotką swoją. Skorom ją zobaczył pospieszyłem do ich loży. Usunęła mi się Helusia w ten sposób że mógłem usiąść przy jej boku. Myślałem że mię kto na sto koni wsadził, zdawało mi się żem w raju. Byłbym się niemieniał o miejsce z żadnym królem świata. Postrzegłem pannę Ludwikę w przeciwnej loży: pono się chmurzyła i gniewnie z pod oka poglądała; niedbałem o to bo mnie boskiem przejmował czuciem anielski wzrok Helusi. Niech się tam kwasi starościanka, byle mi się tylko miliła Helusia! Przedstawiano *„Romea i Julię“* widziałem łzą zroszone oko Heleny; jakążto niewypowiedzianą roskoszbym uczuł, pomyślałem sobie, gdyby mi wolno było osuszyć je pocałunkiem. Odprowadziłem do powozu Helenę i jej ciotkę; proszono mię towarzyszyć im do domu i z niemi wieczerzać: zaledwie usłyszałem i odrzec mogłem parę słów grzecznych, wskoczyłem do pojazdu jak Merkur skrzydlaty. Nigdy dusza moja niepoiła się większą radością; lękałem się tylko żeby mię nie wzięto za szaleńca lub nie trzeźwego. Włosy Helusi piękniej niż kiedykolwiek były utrefione, jakżeż powabnie igrały krucze jej sploty nad promiennem jej okiem! Siedziałem z niemi niepomnąc o świecie i czasie, aż mi się domyśleć kazała dość wyraźnie jej ciotka że już pora odejść do domu.

Koło 12tej. Czarowna była noc. Na czyste przezrocze niebios wypłynął xiężyc i żeglując po bezdennym błękicie poił ziemię lubem światłem. Uroczato była chwila wzajemnego zachwytu pięknej przyrody, miłośnego opatrywania się xiężyca i ziemi, chwila roskosznego objęcia dwojga kochanków! Idąc do domu ułożyłem w miłem natchnieniu strzelisty sonet. Kiedym przechodził koło pomieszkania Rafała postrzegłem światło w oknie. Musiałem wstąpić, wszakto on jedyny, nieporównany mój przyjaciel, jedyny! Zastałem go przy nieszpetnych sklenicach ponczu ze stryjecznym bratem Helusi. Nielubię tego mruka, niegodzien on być tak bliskim jej krewnym! Ale coż robić? odmówić trudno; wychyliłem tedy wraz z nimi parę sklanek na cześć k o c h a n e j i k o c h a j ą c e j, jakto zagaił poczciwy Rafał. Wie co mi lube! Powiedziałem mu za świeżej pamięci mój nowy utwor. Uśmiał się niepomału, lecz mu przebaczam. Nie pierwszyna mito dowiedzić się że Rafał nie jest poetą ani też znawcą poezii, mniejsza oto! Rozstałem się z nim koło drugiej nad rankiem; poszedłem do domu, usnąłem wśród najmilszych marzeń i prześniłem całą noc o Helusi.

Ufajmy ludziom, to nas nie zdradzą, wierzmy w przyjaźń i w miłość, to będą życia naszego szczęściem, i tarczą od złego.

II.

We take no note of time
But from its loss.
Nie znamy czasu, tylko gdy już minął.

1 maja 1840.

O 8mej z rana. Po bezsennej prawie nocy, z pokrzepnego, lekkiego snu ranego, kiedy drzymałem najsłodziej, przebudził mię nieznośny turkot przeklętego wozu ze śmieciem. I koniowi zachciało się tam do licha zarżeć właśnie pod mojem oknem, a w dodatku jakby na złość ten hultaj, prawdziwy śmieciuch, z najobojętniejszą w świecie nieoględnością bezczelnie dzwonił u bramy co mu sił stało. Zbierała mię chętka nabić pistolety i wypalić w próżną mózgownicę szalonemu woźnicy i koniowi, ależby mi się to było nieprzydało na nic, a zresztą się też i niegodzi.

O 10tej. Siadłem do śniadania, nic niejadłem: bułki były kwaskowatogorżkie, jaja niby ztęchłe, herbata wodnista, kawa zanadto mocna. Wstałem i przeraziłem się nielada gdy sobie przypomniałem że to dziś 60ta już rocznica moich urodzin Poszedłem do zwierciadła, lecz jakaś w nim chyba, wykrzywia i zle pokazuje: włosów siwych nad miarę, bez liku zmarszczków na twarzy i czole. At, przyjdzie się zestarzeć!

O 11tej. Przeglądałem szpargały, dawne bazgraniny moje. Znalazłem między niemi część mego dziennika pisanego mnogie lata temu. Odczytałem stronicę z 1go maja 1800, i niepojmuję jak mogłem być kiedykolwiek takim pędziwiatrem, i tak lekkomyślnym jak się o tem przekonywam z mego własnoręcznego pisma. Zamyśliłem się o ojcu, o matce, o babce którychto wszystkich dawno już w grobie złożyłem. Przy tych wspomnieniach w tej chwili zaledwo się od łez wstrzymać mogłem. Wsparłem się łokciem na stoliku, zwiesiłem głowę na rękę i mimowolnie zawarłszy oczy, stanęła przedemną cała przeszłość moja: sen długi, zawiły, tu i owdzie tylko świetne błysnęły mi postacie, lecz i te nawet rozpłynęły się wraz z ciemniejszemi i mniej powabnemi, jak mrzonki w bezdnie ponurego, mdłego poranku mego. Ogarnęło mię smętne uczucie samotności mojej. Uczułem boleśnie teraz że opuszczony, sam jeden stoję na świecie dla mnie już odkwitłym. Kwiat życia mego już zwiędnął, ku ziemi się chyli, znikły niepowrócone dnie wesołości wieku młodocianego, dnie niczem niepowetowanej lubości młodzieńczego uroku, minął na zawsze czas błogi, kiedy istnieć tylko, żyć, oddychać, już jest najczystszą zachwycającą roskoszą. *Flebile nescio quid...*

Tandis que cette vie, âpre et morne vallée
N'a point de buisson vert aù l'on retrouve un jour
L'éspoir, l'illusion, l'innocence et l'âmour!

Koło 12tej. Kazałem zajechać dorożce przed bramę; osłoniłem się dobrze długim ciepłym surdutem i zrobiłem małą przejazdkę dla świeżego powietrza. Postrzegłem że konie moje są troche za ostre; postanowiłem przedać je a kupić mniej młode, spokojniejsze.

Zjechałem się z panem Rafałem: był z żoną i wnuczką; niezważałem na niego ani na pannę Helenę, udałem że niewidzę, choć mię tam coś troche cisnęło koło serca. Ładną mają wnuczkę: pono jej Helusia na imię. Taką była jej babka, kiedy samo imię niegodnej zdawało mi się że w sobie zamyka wszystkie ziemi i nieba szczęśliwości! Możeć nie lepsze będzie i to kocie jeżeli mam sądzić z podobieństw urody i imienia. Byłem wielce usposobiony do mizantropii. Takto bywa. Kiedyśmy się sami zawiedli mylnością własnych mniemań, złudą własnego zdania, błahością własnego sądu, w tenczas radzi ch wytamy lada pozór, który w nas usprawiedliwić może obrzydzenie świata i ludzi, nienawiść, pchopną mścić się na innych za zawody i nieszczęścia własnem przewinione szaleństwem; chętnie i skoro tłoczymy na obce barki brzemię własnej winy, upatrujemy w innych ponik doznanego złego bez względu na obfite, jawne źródło zawarte w naszym nierozumie. Jednakże gdy się czasem odezwie we mnie żal do ludzi, jest w tem nieco słuszności. Zaiste! smutno być zawiedzionym przez tego którego masz za najżyczliwszego przyjaciela; bolesnato rzecz z czystą, niezachwianą wiarą w cudzą szlachetność być igrzyskiem obłudy i nikczemnego zalotnictwa; jątrzyto duszę być zdradzonym chytrością próżnej kobiety, której oddałeś na zawsze młode, niewinne serce, kwiat twojej przyszłości, wszystkie błogie nadzieje twoje! Przyszła mi na myśl babka: spomniałem

z bolem serca ileto razy ważyłem lekce jej rady, jak mało szanowałem jej zdanie. Oby ożyła! jakżebym zgodnie przyjął i czcił jej sąd o pannie Helenie! Niezazdroszczę jej dziś Rafałowi.

Przed 2gą z południa. Zwiedziłem na cmentarzu kaplicę pogrzebową rodziny mojej. Stanąłem przy grobowcach ojca, matki i babki: jednej łzy nieuroniłem.

La ville morte auprès de la ville endormie;
Laquelle dort le mieux?..

Westchnąłem serdecznie do boga abym wkrótce i ja obok nich spoczął. Uczułem że cały byt mój poprzedni jest zwietrzałem ziarnkiem które żadnego niewydało plonu, zżółkłą kartą, niezapisaną ani myślą, ani czynem. Rozmyślałem że jedyni szczerzy przyjaciele których w całym ciągu życia mego zaznałem, wszyscy dawno już poszli do grobu; żem zostawiony sam jeden błędny wędrownik na świecie, do którego mię już żaden węzeł serca ni myśli niewiąże. Zastanawiałem się nad znikomością młodzieńczej miłości i przyjaźni. Uczułem w oczach coś nakształt łez skrzepłych, usiłowałem osuszyć je; nie mogłem!

Koło 3ciej. Byłem w sąsiedztwie na obiedzie u nowożeńców. Rozliczne towarzystwo było wesołe, lecz w twarzach państwa młodych malowało się coś więcej nad wesołość: patrzało im z oczu szczere szczęście; znali się i kochali od dzieciństwa, pozazdrościłem im mimowolnie, pomyślałem czem była niegdyś Helena, czem mi być mogła przez całe życie! Małoco jadłem; niepiłem w cale nic. Młodź tam obecna zdawała mi się niepohamowaną w swej radości: bawili się hucznie i wesoło jakby ich był świat cały; kiedy się śmiali to całą gębą, do rozpuku. Nieznośnym mi był ten zgiełkliwy tłum i ta wrzawa śmiechu i wesołości, już mi w uszach dzwoniło. Schroniłem się między starsze, sędziwsze kobiety, lecz i te były zupełnie zajęte radością i zabawą swych dzieci i wnuków: starzy poili się radością młodego pokolenia swego. Niemiałem tam czego szukać; westchnąłem i ukradkiem do domu się wyniosłem; zbytne zabiegi! niepotrzebna była skrytość: małokto postrzegł że byłem obecny, nikt może że mię niebyło, a zapewne nikomu się nie zatęskniło bezemnie.

Po 7mej wieczorem. Pojechałem do teatru. Brzydzę się kartami, obmierzły mi salony, teatr więc jedyną jeszcze czasem zabawą moją. Wszedłem przypadkiem do loży państwa B*. On, jako mąż niegdyś dobrze mi znanej, byłej panny starościanki Ludwiki.... najgrzeczniej mię przyjął; a ona nawet serdecznie po dawnej znajomości. Dobrato w gruncie i miła istota. Musiała być kiedyś piękną co się zowie; dziś jeszcze przyjemna kobieta; nie znać po niej latek pięćdziesiąt z górą.

W jednej z lóż naprzeciwko siedział z żoną pan Rafał. Coś im niedobrze z oczu patrzało, niemasz tam szczęścia między nimi. Żal mi się zrobiło Heleny; możeto słabość płacić litością za zdradę doznaną, aleć takie serce moje. Niepodobała mi się sztuka: „*Romeo i Julia*“. Być może że liche było przedstawienie; ponoś zle ją oddali aktorowie. Niepojmuję za co i jak można tak ich przechwalać W najlepszym z nich wcale nic osobliwego. Grają niby dla bardzo tępych widzów; całe ich umnictwo i sława polega na przesadzie, skrzywieniu uczuć i przedrzyźnianiu prawdy. Zrobiłem postrzeżenie że dziś już kobiety w teatrze łez nieronią; widać że mądrzeją ich serca. Jakteżto będzie na świecie za lat kilkadziesiąt, kiedy każde serduszko będzie Salamonem? Po pierwszym akcie pożegnałem państwo B*, udałem się do swojej loży aby niebyć zmuszonym wytrwać do końca dramatu a po trzecim akcie do domu powróciłem.

Po 9tej: Niebrała mię chętka do zastawionej wieczerzy. Poprzestałem na bulionie Coś mię trapiło w nogach. Muszę niezapominać o cieplejszych kaloszach. Miłość i wino już się w kościach odzywają. Położyłem się wcześnie, ogrzałem się, czytałem troche N o c y J u n g a a gdy zasnąłem śniło mi się że sam jeden błąkałem się śród ciemnej nocy po gruzach Rzymu.

Jdźcie panny za mąż; żeńcie się panowie!

Hugo W.

Ustęp z dramatu. *)

Aktu I scena I.

Skromny pokój, w jednej stronie stoliczek czarny przed którym stara matka Augusta z kobiecą robótką siedzi, a w drugiej stół Augusta zarzucony xięgami i mnóstwem papierów. Dwudziestoletni August modnie lecz skromnie ubrany coś pisze; po chwili wstaje i z kartką rachunków i kilkoma złotówkami w ręku zbliża się do matki.

AUGUST.

Dobra matko, ten miesiąc jeszcze miesiąc biedy,
I tak skromnym, jak zwykle, obdzielim sie datkiem;
Niezarobiłem więcej, a bóg nas dostatkiem
Niezaopatrzył; ale....

MATKA *przerywając*

Lube dziecię! kiedy
Stara matka z pociechą pogląda na syna,
I z jego pracy chlebem bożym się podziela,
Najlepszą jej zastawą jest promień wesela
Którym każdy dzień kończy, i nowy zaczyna.
Bo jakże jabym mogła błogosławić życie
Bezwładna na me nogi, z wypłakanem okiem?
Gdyby mi się przy boku nieza̎śmiało dziecię
Co pracuje mą chęcią, stąpa moim krokiem
I spowija me bole tak miłą nadzieją,
Że mi się moje stare lata nawet śmieją.

AUGUST.

Matko, od mojej chęci jeszcze czyn daleki;
Dopierom zaprzągł pracę, a na jej grzbiet duży
Tyle już szczęścia August nakłada i wróży,
Że mi godzina każda staje jakby wieki,
I pyta czyś daleko u swojej podróży?
A serce ciągle wtórzy: daleki! daleki!..
O! ja memi siłami poprę do ostatka,
Niechaj się szczęście chowa gdzie chce przed innemi
Z młotem w ręku, jak górnik, spuszczę się w głąb ziemi
I będzie mi szczęśliwą....

Zatrzymuje się, lekkie westchnienie.

matka!

MATKA

która uważnie cały czas patrząc w niego, słuchała, z uśmiechem pyta.

Tylko matka?

AUGUST *prędko*

O, i ja także z wami, szczęśliwy, wielbiony
Zdobędę pracą świat ten co dotąd zamknięty
Stoi mym oczom w blasku, jakby obraz święty
I z mego życia nie zna, jak same pokłony.
Ja mu pracą przemówię do serca i ucha,
Moję nazwę wpakuję w jego grzmiące usta,
Że gdy będzie chciał wspomnieć zdolność, lub moc ducha,
Będzie grzmiał o Auguście i wielbił Augusta.

Czy wiesz matko, że gdybym zapragnął miliony
Dziśbym je śmiało życzył w kantorze lichwiarza,
Bo świat łacno przygarnąć: świat, to gracz szalony,
Staw pracę, głowę, co chcesz, wygrasz u nędzarza.

MATKA.

Synu! lecz ty nie stawiaj swej poczciwej myśli,
Za całe złoto ziemi, za cały blask świata.
Cnotliwe serce roi i wolno ulata,
Ino cicha nadzieja piękną przyszłość kryśli.
Lecz gdy ją zaczniesz mazać osobistym szałem,
Zciężeje myśl swobodna, twój zamiar zmaleje,
Powiesz: jakże to błahe, co dzieckiem kochałem!
Praca już nie wystarczy na twoje nadzieje,
W głowach twoich myśl dzika, może z hańbą siędzie,
A nad nią matka twoja twój kraj płakać będzie.

AUGGST

żywo, chodząc niespokojnym krokiem.

Matko! matko! tyś może we śnie podsłuchała,
Gdy moja głowa z sercem takie sprzeczki miała?

chwyta ją za rękę.

Powiedz mi, czy na drodze spokojnego życia
Przychodzą takie myśli coby czucia żarły?
Dobry duch, by się sprawiał w piersiach jak umarły,
A złe, ogniste myśli, wybiegły z ukrycia
I całe piękne twarze pokazały życia?
Tak było: skromna izba w pałac się rozwija,
Czołem, pokornym czołem jakim ja dziś chylę
Tłum ludzi mi pokłony i chwalby wybija,
A ja za tę ich grzeczność na uśmiech się silę.
Wszystko widzę tak piękne, strojne i bogate,
Szalony zbytek czołga z komnaty w komnatę,
Żadna troska nad rankiem w głowę nie kołace,
I nie woła o mój chleb powszedni, o pracę.
Jakoś mi tak wygodnie, przestronno, aż miło.
Wtem czyto ja czuwałem, czyto mi się śniło,
Pamięć się zapytała: matko! to o ciebie,
To o moje uczucia, to o myśli młode....
Zimność padła na serce, i kamień o wodę,
Rozbryznęły się moje marzenia o niebie.
Sam, sam ino zostałem, tak ciężki, niemiły...
Chciałem by mnie coś bodło, coś do pracy gnało,
Chciałem by mi się dawne chęci powróciły,
Bym miał dostatków mało, bym miał chleba mało,
Ino żeby mnie młode myśli odwiedziły
I z uczuciami jeszcze pobratały cało....
Budzę się: jakaż radość z pierwszą ranka dobą,
Gdym chwycił pióro moje, gdym cię zoczył lubo!
Klęczącą przed twym bogiem moja ty ozdobo!
Witałem się tak z tobą, bom się witał z zgubą,
Którą moja pierś młoda odszukała znowu.

MATKA.

Auguście! sen twój, może gałęź u parowu,
Co ciebie zatrzymała lecącego w przepaść.
Dobrze pracą zarabiać dostatek, znaczcnie;
Lecz blask tumani. O! pamiętaj nie paść
W drogę, kędy się z tobą rozłączy sumienie,
Bo już się z sobą więcej nie zejdziecie w życiu!

. . . .

Dominik Magnuszewski.

---

*) *Szanowny autor który niniejszy ustęp do naszego dziennika nadesłał, uwiadomił nas zarazem iż ten dramat rozpoczął w tej myśli, aby mógł być przedstawiony na teatrze lwowskim.* p. w.

Nieodstępny przyjaciel.

Adolf D* mógł pędzić życie tak roskoszne jak żaden z śmiertelnych: ktoż mu zabronił cały dzień spać, lub strzelać bąki od rana do wieczora; latem przeciągać się w cieniu pachnącej lipy, zimą wygrzewać się u kominka w watowanym ciepłym szlafroku? Cowiększa palić najprzedniejsze cygara, zpijać szampana za każdą przekąską, podróżować, polować, przejeżdżać się konno, mieć swoje grymasy, swoje fantazie i najdziwniejsze zachcenia, które każdej chwili mógł urzeczywiścić; lub stosując się do mody mieć kolekcie obrazów, xiąg nierozciętych, fajek, cybuchów, bursztynów, sztyletów, medalów, kamizelek, muszli i trzewików kobiecych? Natura nie odmówiła mu grzeczności, układności, słodyczy; wszystkoto posiadał do zbytku; alboż nie był bogaty? Ach, zawołacie, to był najszczęśliwszy człowiek! — Przepraszam moi panowie, grubo się mylicie. Wprawdzie Adolf posiadał to wszystko, a nadto zdolność używania tego z mądrością Epikura, a jednak los jego był najsmutniejszy: krótkie i przykre było jego życie, a opłakany koniec. Adolf miał przyjaciela!

Cożto za dzikie wyobrażenie o przyjaźni? zawołają zewsząd na mnie.

Ależ moi panowie! cenię ja równie jak wy Oresta i Pilada, Niza i Euriala, związek ten święty oddawna ubóstwiali nasi ojcowie, a ilekrotnie przykłady tego rodzaju słyszałem, wylewałem łzy rzewne; wszelako nim mię potępicie, pozwólcie niech dokończę mej powieści w której nie co innego sobie zamierzyłem, jak tylko dowieść, że są ludzie którzy napotykają same ciernie i przepaście tam, gdzie dla innych ścielą się łąki najwonniejszemi kwiatami.

Przyjaciel Adolfa zwał się Staś Przylipka.

Ledwie Adolfa poznał, zwał go najpoufniejszym wyrazem *ty*. Mimo poważną powierzchowność, i usilność z jaką Adolf starał się temu zapobiedz, bądź że mu się nie podobał, bądź że go nieznał, widział się jednak zmuszonym uledz tej niespodzianej, a może dobrze naprzód obliczonej natarczywości. Nadaremnie mówił doń przez trzecią osobę, nadaremnie wymawiał z przyciskiem *waćpan* kiedy go Staś swojem ulubionem *ty* obdarzał, nic nie pomogło. Przylipka dobrze grał swoją rolę: utrzymywał że zna Adolfa ze szkół, że z nim na jednej ławce siadywał, że razem grywali k a s z a g r o c h i ś c i a n k i, a więc ma sobie za obowiązek odnowić dziecinną przyjaźń; i rozrzewniając się miłemi wspomnieniami pierwszej młodości która, jakkolwiek i Adolfowi luba, nie zostawiła jednakże żadnego śladu w jego dość dobrej pamięci, spoglądał czule na swego starego towarzysza, nie tracąc najmniejszej sposobności do drobnych przysług: cygarem, szklanką piwa, krzesełkiem, modnem zawiązaniem chustki, ztrzepaniem najmniejszego pyłku z jego axamitnego kołnierza; wszystkoto z największą bezzyskownością. Możnaż się oprzeć tylu grzecznościom?

Odkąd się znalazł ten przyjaciel, Adolf nie był panem siebie.

Ledwie z kim wszedł w rozmowę czyto na ulicy, czy na ustroniu, gdzie zwykle nie bardzo chętnie widzi się świadków, wnet był tam i Przylipka. Nie zważając ani na delikatność, ani na przyzwoitość, wtrącał się w wszelką rozmowę, a to nie z grubiaństwa lub trzpiotostwa, lecz ze wzniosłego wyobrażenia o przyjaźni z którego wypływał niezmienny tryb jego postępowania; z tej zasady wychodząc wolno mu było wszystko, a życie prywatne Adolfa nie miało dla niego żadnej tajemnicy. Staś chciał wiedzieć najskrytsze przymioty kobiet które obdarzały Adolfa swemi względami. Skoro się z opowiadań dokładnie o całej rzeczy dowiedział, stawał w obronie moralności. Rzadko się kiedy zdarzało aby w skutek zbawiennych przedstawień Stasia Adolf nie rozstał się z swoją dawną znajomą. Jednego razu zaszło małe nieporozumienie między Adolfem a jego przyjaciółką, której niezbadany charakter obudził całą troskliwość Przylipki. Gotów zawsze na przyjacielskie usługi, udał się do niej aby rozebrać i zgłębić jej tajemniczego ducha, lecz niestety przyjaciel wpadł w te same wniki, i gdy Adolf wszedł znienacka do pokoju, ujrzał w objęciu przyjaciela zwodnicę. Adolf pomiarkował że trzeba korzystać z tej sposobności i pozbyć się natrętnego przyjaciela. Wpadł w gniew i zaczął przeciw niemu wyrzekać.

Przylipka zniósł to cierpliwie, a nazajutrz wpadłszy do Adolfa gdy jeszcze był w łóżku zawołał ze łzami w oczach: Nie! niechaj nigdy świat o nas nie rzeknie że powodem rozerwania najstalszej przyjaźni była kobieta!

Długoby było wyliczać wszystkie przykrości jakich doznał Adolf. Staś pożyczał od niego pieniędzy a nigdy nie oddawał. Zapraszał się codziennie do stołu, a chociaż mu nigdy nic nie smakowało żarł za czterech. Skoro Adolf zrobił jakąś znajomość, lub został zaproszony w jaki dom znakomity, Staś chwytał się tej sposobności i póty go dręczył i męczył póki go nie przedstawił rodzinie która daje tak piękne wieczory.

Uniesienia przyjacielskie miały dla niego tę korzyść że sobie przywłaszczał najmodniejszą krawatkę, trzcinkę najpiękniejszą z szafirem i najwonniejsze pomadki. Gdyby też jeszcze te nadużycia starał się Adolfowi wynagrodzić tkliwem, wyrozumiałem, łagodnem obejściem się; ależ przeciwnie: nie zważał on na delikatność swego przyjaciela i jakby się na to usadowił aby go dręczyć tak w wielkich rzeczach jak i w drobnostkach. Gdy Adolf miał się coś nieprzyjemnego dowiedzieć, Staś był pierwszym który mu o tem donosił, zdarzało się nawet kilkakrotnie iż mu opowiadał z pewnem złośliwem zadowoleniem co złe języki o nim gadały, jakoto codzienne plotki i rzucane nań oszczerstwa w skutek lekkomyślności ludzi jakim mimowolnie podlegamy wszyscy na świecie. Co do przycinków, na tych mu wcale nie zbywało. Cożto wdziałeś za surdut? mówił pewnego razu, to istny worek! wyglądasz w nim jak małpa w chomoncie. Albo: wyrwałeś się jak Filip z konopi, i to jeszcze w obecności tej dowcipnisi Anieli; śmiała się też z ciebie do rozpuku, na honor! — Diableś się spisał z swoję krytyką o tancerce S*. Szydzono z niej po salonach. Trzeba wyznać że niemasz za grosz dowcipu.

I ciągle, ciągle takie wyrzuty.

Raz w obecności Stasia pokłócił się Adolf o drobnostkę z pewnym młodzikiem. Na rozsądnego nie można się było ztąd obawiać złych skutków. Rozeszli się bez gniewu i nikt nie wiedział o tem co zaszło. Staś utrzymywał że honor Adolfa był obrażony i póty przy swojem obstawał, aż Adolf widział się zmuszonym wbrew swemu przekonaniu żądać zadośćuczynienia i wyzwał onego młodzika na pojedynek. W stosunkach przyjacielskich zostawał mu wybór jednego z dwojga: żyć z plamą lub się oczyścić pojedynkiem. A więc się strzelał. Można się domyśleć że Staś mu sekundował. Jakże był zachwycony w tej chwili, jak czynny! sam wszystko urządzał, sam pistolety nabijał. Strzelono z stron obu i oba strzały chybiły; przytomni radzili zgodę. Staś oburzył się na to. Według niego cierpiał na tem honor. Nabito pistolety raz drugi, zmierzyli się przeciwnicy. Oba upadli: Adolf z piersią przeszytą, jego przeciwnik z nogą strzaskaną. Smutnato rzecz, zawołał Staś, lecz trzeba wyznać że strzały były prześliczne! Nazajutrz Adolf był konający. Staś dowiedziawszy się od lekarza że chory ledwie mógł żyć godzinę, a był przy zdrowych zmysłach, chciał go sam uwiadomić o niebezpieczeństwie. Nie dopuszczę, mówił, aby ktoinny oznajmił mu iż niemasz dla niego ratunku.

Gdy Adolf skonał, Staś zalał się łzami; serdecznie uściskał zwłoki przyjaciela i pragnąc w rospaczy zachować choć drobną pamiątkę tak drogiej przyjaźni nabrał odwagi: odpiął spinkę od zakrwawionej jeszcze koszuli i odszedł.

Przyszedłszy do domu zamknął się i pisał mowę pogrzebową którą miał nad grobem przyjaciela.

Wszyscy byli rozczuleni na widok Stasia ubranego czarno od stóp do głowy, jak z uniesieniem wygłaszał nieboszczyka pochwały, rzęsne łzy białą chustką ocierając. Gdyby kto zbliska przypatrzył się tej cienkiej, batystowej chustce, ujrzałby w jej końcu pięknie wyhaftowaną cyfrę nieboszczyka.

Wszystkie dzienniki ubiegały się o najrychlejsze wytłoczenie w swych kolumnach tych pochwał pogrzebowych, a publicyści zbogacili je wstępem i przypisami w których mniej więcej pompatycznie uwielbiali święty węzeł przyjaźni.

»Nic mię nie zdoła pocieszyć, mówił Przylipka, w tem smutnem położeniu, że nie mam bogactw abym mógł memu biednemu przyjacielowi wystawić pomnik godny nas obu! Lecz będzie on żyć wiecznie w mem osieroconem sercu!« A w duszy pomyślał: wolałbym był jednak chapnąć jego fortunkę!

Przyjaźń ma swoich faryzeuszów i tyranów, równie jak swoje męczeństwa i ofiary.

naśl. *Władysław hr. Łoś.*

T E A T R.

15go stycznia przedstawiono po raz drugi przełożoną komedię Skribego w 5ciu aktach pod nazwiskiem: Koleżeństwa (*Les Cammeradries*). Wielki ten pisarz usiłował przedstawić w tej sztuce zabiegi, podstępy, i tajemne związki osób zbliżonych ku sobie brakiem zdolności, i nikczemnością charakterów, a znoszących się przez wspólność interesu ażeby, kiedy już niemożna przez osobiste talenta i zasługi, dostępować wzięcia, godności i urzędów przez wzajemne rozsławianie i przechwałki, przez pochlebstwa, czołgania i intrygi, przez dosyć dwuznaczne nareszcie wpływy i protekcie kobiet. Obraz ten zbogacony obszerną znajomością tegoczesnych społeczeństw, ożywiony twórczością imaginacii, rozjaśniony blaskiem dowcipu, wykończony pod piórem takiego mistrza niemógł jak tylko stać się nieskończenie powabnym i zajmującym. Zasługuje ta sztuka na szczególniejszą uwagę pod względem umniczym jako różniąca się i od dawnych molierowskich komedij których było niejako zasadą szczególne wady i dziwactwa uogólniać, wyśmiewać w karykaturze, i od tegoczesnych u których różne dowcipki i zdarzenia najczęściej po starych xiążkach rozsypane nakręca pracowity autor do swego przedmiotu, obcina, zaokrągla, odmienia, przystraja i klei w jedną mozaikę. Inną wytknął Skribemu drogę jego nieporównany talent, a komedie jego stanowią epokę. Osnowane po większej części na tle wieku naszego odznaczają się wiernością i stosownością kolorytu; nie rozsmieszają w nich żarciki i dowcipki ztąd i owąd zebrane, ale zabiegi, zawikłania i zdarzenia ze stosunków, namiętności, interesów i charekterów osób wypływające. Nie kusi się Skribe o komedię, ona sama mu się narzuca; a Koleżeństwa są sztuką w której i wszystkie te zasługi szczególnego w swoim rodzaju komediopisarza i całe jego umnictwo jak w obszerniejszym wystąpiły zakresie, tak i w wyraźniejszych objawiły się rysach. *L. D-B.*

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.